NUMER 25. DNIA 22-go CZERWCA 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

JAN ŚWIERK

URLOP.

Ledwie śniegi zaczęły tajać, ledwie słońce poczęło przebijać się przez chmury, on już marzył o urlopie.

Nic dziwnego. Wlecze już 17 lat tę taczkę ciężkiej pracy, w ciasnym pokoju, przy stole zarzuconym papierami, zapisuje i wciąga, notuje i przekreśla, a tak ciągle jedno i to samo.

Przed pięcioma laty, gdy się podał o urlop na dwa miesiące, szef biura uniósł się gniewem:

— Co pan myślisz?... Komisarz nawet takiego długiego urlopu bez świadectwa lekarskiego nie dostanie, a pan go żądasz?... Na dwa tygodnie może jeszcze, ale i to wątpię...

Schylony kornie ośmiela się wyszeptać:

— Jestem chory, potrzebuję kuracji, kaszel mię męczy całemi nocami.

Pan Y. mruknął niechętnie, że sprawę jeszcze rozpatrzy, a on czekał i czekał. Lecz urlopu nie dostał, ponieważ tylu starszych rangą powyjeżdżało, iż ani myśleć nie było można, by i on się urlopował.

W rok potem, przedłożył on podanie o urlop na 1 miesiąc, z załączonem świadectwem lekarskiem, ale nie wyjechał, gdyż go szef prosił po przyjacielsku, aby został, szef sam na 4 miesiące jedzie, a nie będzie spokojny o biuro, jeśli jego tu nie zostawi.

Następnego roku, przyszedł znowu z prośbą o urlop na miesiąc, a już prawie z łzami spogląda na szefa, czyli przychyli się ku temu. Szef zgodził się.

Sprawa załatwiona korzystnie. Miał już nawet wynajęte mieszkanko w chacie chłopskiej, 2 mile od Kalwarji, a w kalendarzu codzień przekreślał upłyniony dzień, licząc, ile mu jeszcze dni czekania zostaje...

Wreszcie, gdy miał już być w mieście tylko 14 dni — równe dwa tygodnie — spadła wieść straszna, nie może jechać, bo właśnie w oddziale drugim zmieniono komisarza, przychodzi młody, niedoświadczony urzędnik, protekcją wyniesiony na to miejsce, trzeba mu koniecznie dać pomocnika zaufanego, a czyżby był kto lepszy nad niego?...

Szef był uprzedzająco grzeczny. Dwa razy położył rękę na ramieniu pochylonego kancelisty, wyrażał się tak życzliwie o jego pilności, praktyce, o tem, iż jest prawą ręką w załatwianiu spraw drobnych, no i wreszcie rzekł w końcu:

— Uważam, że pan nawet znacznie lepiej wygląda, mniej kaszle, może i obejdzie się bez urlopu, a zostanie panu kilkadziesiąt reńskich w kieszeni...

— I zostało kilkadziesiąt reńskich, ale poszły do apteki i kieszeni lekarza.

Tamtego roku on już o urlop nie prosił, wiedząc, że byłoby to na darmo, ale teraz musi wyjechać.

Siły nikną z dniem każdym, życie zdaje mu się już gaśnie, a lekarz mu ciągle powiada:

— Jedź pan w lasy, spoczywaj, jedz dużo, a organizm się wzmocni.

Podanie napisane, świadectwo lekarskie załączone, tylko podać wcześnie. Więc jeszcze w kwietniu położył na stole szefa wykaligrafowane podanie, a teraz czeka na odpowiedź.

— Dobrze! dobrze!... dam panu — mówi szef łaskawie tylko trochę później, niech najpilniejsze sprawy załatwimy.

On przychodzi o godzinę wcześniej, wychodzi o 2 godziny później, pisze bez wytchnienia, aby najpilniejsze sprawy pozałatwiać, ale nie ubywa ich, bo co jedne pliki papierów schowa do aktów, nowe już stoją.

— Dobrze! dobrze!... — mówi już przy końcu maja, szef biura — w czerwcu pan pojedzie...

Na tę wieść, on wraca do domu jakby na skrzydłach... Kupił dzieciom po wiązce rzodkiewki, a żonie parasolkę nową. Zaraz wieczór, począł pakować rzeczy.

— Jeszcze czas, jeszcze nie wiemy gdzie jechać — tłumaczy mu żona, patrząc z źdźiwieniem na jego gorączkowe ruchy i na te wypieki na twarzy, ale on rozgadał się i mówi jakby jaką książkę czytał:

— Tam na wsi, jak wiatr powieje od lasu, to niby jakiś szept słychać, niby jakieś wołanie ciche a dalekie, jakby każda sosna do siebie wabiła, jakby każdy ptak chciał z tobą rozmawiać.

— Tam na wsi, jak ta rosa ranna jeszcze nie wyschła, a słońce na nią świeci, jakieś takie powietrze niby w kościele przy suplikacji, kiedy woń do około, co odetchniesz, to czujesz balsam w piersiach, a inaczej płuca dychają, inaczej serce bije...

— Tam na wsi, zdaje się, że pół świata bliżej człowieka, że każdy tobie brat, a nikt nie gardzi, spotkasz kogo, to nie widzisz z jakiej rangi, ani jaką on ma posadę, rozmawiasz z kim, to on ci jak równy, nie jest panem twoim, więc i inna mowa wtedy i inne myśli...

— Tatusiu!... a ty już na wsi nie będziesz chodził do biura? — pyta najmłodszy Adaś.

— Oj dziecko! dziecko!... tam moje biuro będzie w lesie ciemnym, tam moje akta będą po tych łąkach zielonych, gdzie kwiatów pełno, a swoboda wokoło... Obaczysz co będzie?... Tatuś pozdrowieje, będzie z wami daleko chodził, będzie wam opowiadać rozmaite historje, nauczy was niejednego, o czem w szkole wam nigdy mówić nie będą...

— Tatusiu!... — pyta Zosia dwunastoletnia, blada jak płatek śniegu, a zkądże będą pieniądze na wszystko? na wstęp do lasu, na wycieczkę w pole?...

— Tam się tak nie płaci, jak w mieście za wszystko, gdzie trzeba za każdy wstęp, za furę na pole opłacać, tam wolność — swoboda, tam życie...

Układa książki, książki nigdy z szafki nie ruszane, jeszcze za kawalerskich czasów kupowane, a które teraz ma dzieciom czytać. Zbiera papiery z stolika, stare papiery, gdzie to on odpisywał wiersze i złote myśli poetów, a choć go to męczy, uradowany urlopem, ani zważa na to i roi o wyjeździe cały wieczór.

Parę dni w biurze siedział jak senny, nie mógł pisać. Co chwila się budził z zadumy, od szumu lasu i woni łąki przywoływał się do aktów, ale robić nie mógł.

Urlop już ma.

Wręczono mu dzisiaj, ma czarne na białem, ma wyraźnie napisane: „udziela się panu urlopu sześciotygodniowego do dnia 20 lipca włącznie“.

Śpieszy do domu, ani je, ani śpi, tylko nagli, aby wyjeżdżać. W zastaw poszły pierścionki ślubne, poszedł dukat, co go Marynia, najstarsza córeczka dostała od chrzestnej matki. Abramko pożyczył 25 złr. na 25%.

Jeszcze pięć dni! Jeszcze trzy dni!... Już jutro!...

Idzie ostatni raz do biura, ma się zgłosić do szefa przed wyjazdem, jutro wyjeżdża...

A pan szef podaje mu papier z uwiadomieniem, iż ze względów służbowych przeniesiono go w inne miejsce, gdzie bezzwłocznie musi się udać i urzędowanie objąć.

W pół roku potem — otrzymał on urlop, na długi spoczynek cichy i lekki; a sosny mu szumiały nad głową i od gór wiały dalekie echa wichrów dzikich...

Pan szef zaś mówił do młodego kancelisty:

— Nie mogłem sobie dać rady z starym Garncarskim, nic, tylko urlop i urlop, a czy to on nie ma codzień po biurze urlopu?...

Patrjotyzm a antagonizmy narodowe.

(Dokończenie).

Powstaje u nas nacjonalizm polski, noszący różne społeczne zabarwienie, stosownie do sympatyj społecznych przedstawicieli tego kierunku.

Przeciwko nacjonalizmowi wystąpił w ostatnich czasach p. Ludwik Kulczycki w „Krytyce“ i „Tygodniu“. W artykule „Nacjonalizm i patrjotyzm“ (Krytyka zeszyt V.) p. Kulczycki załatwia się bardzo prosto z tą kwestją. Patrjotyzm, który kojarzy się z ideami, które mu się podobają, nazywa patrjotyzmem; patrjotyzm, kojarzący się z ideami mu niemiłemi, nacjonalizmem. Oczywiście ma uznanie dla pierwszego, potępienie dla drugiego. Sympatje to rzecz gustu, moglibyśmy nie dyskutować z p. Kulczyckim, ale mi chodzi o wykazanie, że wiele idei, które się kojarzą z jego patrjotyzmem, byłyby dla naszego społeczeństwa wprost szkodliwe.

Jakkolwiek nie jestem, jak już zaznaczałem, zwolennikiem dawnej demokracji, zarzucając, że jej patrjotyzm był sentymentalny, jednak muszę owych demokratów wziąć w obronę przed p. Kulczyckim, ich apologistą, gdyż on przypisuje im poglądy polityczne, od jakich oni byli mniej więcej wolni.

P. Kulczycki pisze, że nasi patrjoci z 1830, 48. i 63. r. „w solidarności uciskanych narodów widzieli potężną bron w walce z wrogami.“ O ile wiem, pogląd ten na solidarność uciskanych narodów wypowiedział niedawno tylko „Naprzód“ galicyjski, — przed wielu laty znałem też jednego gimnazistę w Wilnie; dobry to był chłopiec i nawet niegłupi, ale nazywano go królem irlandzko-polskim, bo budował przyszłość Polski na powstaniu Irlandji. To był jednak idealny przedstawiciel idei solidarności uciskanych ludów, w imię której odrzucał z oburzeniem rachubę, że rozwój antagonizmu między Anglją a Rosją może wywołać konjunkturę polityczną, przyjazną dla naszego powstania i uczynić ją naszym naturalnym sprzymierzeńcem, jako wroga naszych wrogów.

Nasi patrjoci z 1848 r., gdy szli walczyć z Węgrami, szli nie ze względu na jakąś solidarność uciskanych ludów, ale w imię tej mądrej zasady politycznej: wrogowie naszych wrogów są naszymi sprzymierzeńcami. Austrja owoczesna i Rosja były naszymi wrogami, stąd Węgrów, którzy walczyli z Austrją, nie uznawali tych słowiańskich ludów, o knowaniu wśród których wiedzieli Polacy z papierów rosyjskich pochwyconych w Warszawie r. 1830., uważaliśmy słusznie za naszych sprzymierzeńców. O solidarności i antagonizmie tych lub owych narodów, decyduje nie szczep, nie to, o ile jedno jest uciśnione a inne wolne, a tylko solidarność lub sprzeczność realnych interesów. Turcja, odkąd jej zagraża Rosja, stała się naszym naturalnym sprzymierzeńcem, ona nie podpisała dotąd traktatów legalizujących rozbiór Polski, Rosja dla rozbioru Turcji wysunęła sprawę ludów słowiańskich, przez nią ujarzmionych, Mickiewicz usiłował stworzyć legjon dla walki po stronie Turcji, a nie tych „uciskanych“ bułgarskich i serbskich pastuchów.

W artykule w „Tygodniu“ p. Kulczycki twierdzi, że nasz nacjonalizm ma chęć krzywdzenia Żydów i Rusinów. „Jest niem mojem (p. Kuczyckiego) zdaniem, ślepy antysemityzm, nie poprzestający na domaganiu się od Żydów by uważali się za Polaków, działali zgodnie z interesami kraju, lecz jeszcze, aby przyjęli się duchem polskim — bez bliższego i ścisłego sformułowania pojęcia „duch polski“ — „myślenie polskie“. P. Kulczycki przejawia upodobanie do ścisłych definicyj. To się mu chwali, ale nie trzeba w tem iść tak daleko, aby aż negować objawy, niepoddające się ścisłej definicji na razie lub chociażby na zawsze. Ubóstwo naszego języka, braki w naszych poznawalnych zdolnościach, zwłaszcza w zdolnościach analitycznych, czynią, że szeregu objawów, które odczuwamy, o których istnieniu jesteśmy najbardziej przekonani, nie możemy wiernie i ściśle określić. Takie n. p. pojęcie jak narodowość, nie znalazło jeszcze określenia, mogącego przejść wszystkie próby krytyki. Na ulicy odróżnię Niemca od Polaka, Polaka od Rosjanina, ale nie potrafię ściśle określić, na czem polegają te różnice. Jeżeli nie łatwo jest ściśle zdefinjować różnice fizyczne, zachodzące między przedstawicielami różnych narodów, to tem trudniej ściśle zdefinjować różnice psychiczne, w których określaniu cyrkiel, miara i waga ma niezrównanie mniejsze, podrzędniejsze znaczenie. Trudność problematu nie może być jego zaprzeczeniem. Różnice narodowościowe polegają nietylko na języ-

kowych różnicach; żyd, mówiący nawet od dzieciństwa po polsku, myśli i rozumuje, odczuwa inaczej niż Polak. Na idei pracy organicznej u nas, na liberalizm i socjalizm w Europie, Żydzi położyli swe osobne piętno, którego nie zaprzeczają zarówno antisemici, jak i filosemici. Możemy chcieć zasymilować Żydów, ale sami, o ile cenimy naszą indywidualność narodową nie chcemy poddawać się asymilacji.

Teraz co do tzw. zwalczania dążeń narodowych Rusinów, p. Kulczycki jest zwolennikiem ustępstw dla nich. Ale w imię czego? Może w imię sprawiedliwości. Ależ cóż to jest owa sprawiedliwość? Jest to właściwie to, czego chcemy, jest to pożądalna przez nas symetrja zjawisk, aby jednym zjawiskom odpowiadały inne. Jedni będą twierdzili, że sprawiedliwość wymaga, aby stosunek szkół średnich polskich do ruskich był zupełnie odpowiednim stosunkowi liczebnemu Polaków do Rusinów w Galicji i to nazwą sprawiedliwością; inni powiedzą: szkoła średnia to jest funkcja klas średnich, (jest ściśle związaną z liczebnością przedstawicieli stanu średniego w danym narodzie, gdyż on to daje w obecnych warunkach najwięcej wychowańców szkołom średnim) powiedzą, po co otwierać szkoły nieproporcjonalnie do zapotrzebowania na nie i tylko stosunek odpowiedni szkół do uczniów danej narodowości uznają za sprawiedliwy. Inni znów twierdzić będą, że szkoła ma przedewszystkiem edukacyjny cel, że kształci dziś ona na literaturze języka wykładowego, że szkoły średnie narodów o niewyrobionej, biednej literaturze, są objawem szkodliwym cywilizacyjnie i z tego względu będą uważali istnienie szkół ruskich średnich za fakt nieusprawiedliwiony, niesprawiedliwy.

Faktem jest, że Rusini, uprawiający politykę, wszystkie partje ruskie chcą nas wyprzeć ze wschodniej Galicji i mają w swych programach podział Galicji. Wobec tego konsekwentną polityką wobec Rusinów albo hasło z naszej strony: Rutenizujmy się lub wynośmy się za San, albo walka z nimi dla umocnienia naszej tu pozycji. P. Kulczycki znajduje trzecie wyjście popieranie wzmocnienia ruskich i naszych sił w Galicji. Może tego wymaga jego poczucie sprawiedliwości. Ale cóżbyśmy powiedzieli o owym wodzu, który w imię sprawiedliwości oddałby tyle pozycyj bojowych przeciwnikowi, aby ilość dobrych pozycyj bojowych odpowiadała ilościowemu stosunkowi obu walczących armij.

Obok antagonizmów polsko-ruskich w Galicji istnieje szereg interesów polsko-ruskich, n. p. interesów związanych z rozwojem produkcji krajowej i t. p. Walka, jaką prowadzą dwie grupy społeczne, bądź klasowe, bądź narodowe, nie powinna nigdy przekraczać granic zakreślonych antagonizmem tych interesów, winna ona być walką, wykluczającą objawy znęcania się, gwałtu, budzącego naszą odrazę. Ale o formie walki nie stanowi wola jednej tylko walczącej strony. Obowiązek względem bytu i rozwoju naszego narodu, zmusza nas być w walce o tyle bezwzględnym, o ile nimi są przeciwnicy nasi.

P. Kulczycki do nacjonalizmu zalicza poglądy wypowiedziane przez Szczepanowskiego w jego „Idei polskiej“ i poglądy prof. Lutosławskiego. Nie wdając się w krytykę tych poglądów, powiem, że o ile one przyszłość narodu polskiego opierają nie na walce o jej byt lepszy, a na tryumfie pewnych zasad, które mają być nową ideą narodów, o tyle nie są podług mnie nacjonalizmem.

Władysław Studnicki.

Odpowiedź p. Studnickiemu.

P. Studnicki w artykule swoim, w sposób bardzo ogólnikowy, poruszył naraz mnóstwo kwestji, dotknął więc: sprawy antagonizmów narodowościowych, stosunku starych naszych patrjotów do nowych, solidarności polskich rewolucjonistów i rosyjskich, walki z rusinami i. t. p. znalazł nawet w swym artykule miejsce na osobiste wspomnienia o znajomych gimnazistach w Wilnie.

Przyznaję się otwarcie, że nie mogę w jednym artykule pisać o tych wszystkich kwestjach. Są one zbyt ważne i skomplikowane, z wyjątkiem

autobiograficznych wspomnień, aby je można było traktować z pożytkiem dla czytelników w sposób praktykowany przez p. Studnickiego, polegający na kategorycznych twierdzeniach i luźnej argumentacji.

W odpowiedzi swej zatrzymam się tylko nad zasadniczemi kwestjami, poruszonemi w artykule p. Studnickiego, na inne zaś, bardziej szczegółowe, odpowiem mu kiedyindziej bądź w „Tygodniu“, bądź w innem piśmie.

W pierwszej części swego artykułu p. Studnicki przyznaje, że nasza stara patrjotyczna demokracja walczyła za naszą i waszą wolność“, to jest w interesie Polski i innych narodów podbitych.

W drugiej części artykułu autor robi mi zarzut, że, rozróżniając pojęcia patrjotyzmu i nacjonalizmu, nadaję im wyłącznie subjektywne znaczenie, zaliczając do pierwszego to, co mi się podoba, a do drugiego to, co uważam za szkodliwe.

W swoim artykule w „Krytyce“ sformułowałem różnice między patrjotyzmem a nacjonalizmem, charakteryzując pierwszy jako kierunek wolnościowy, demokratyczny, dążący do zapewnienia niezależności narodowej bez przesądzenia z góry indywidualnych cech narodowości; drugi — jako prąd pozbawiony cech prawdziwie demokratycznych, dążący do narzucenia języka, obyczajów i w ogóle kultury jednego narodu drugiemu, reprezentujący interesy koteryjne pewnych warstw uprzywilejowanych pod pokrywką patrjotyzmu. Jako przykład przytoczyłem starych patrjotów niemieckich z początku XIX w., francuzów z epoki rewolucji, włochów, irlandczyków i polaków, walczących o wolność narodową; tym patrjotom przeciwstawiłem nacjonał-liberałów w Niemczech, nacjonalistów francuskich, szowinistów rosyjskich i t. p.

Jeżeli informacje moje o patrjotach i nacjonalistach były niedokładne, to p. Studnicki powinienby je sprostować i wykazać, że naprzykład dzisiejszy nacjonał-liberał niemiecki tak samo patrzy na polaków, jak patrjota niemiecki z 48 roku, albo, że nacjonalista francuski w chwili obecnej ma te same dążenia, co patrjota z czasów wielkiej rewolucji. Dopóki zaś p. Studnicki tego nie uczyni, dopóty twierdzenie jego, że wyrazom patrjotyzm i nacjonalizm nadaję dowolne znaczenie, uważać muszę za frazes polemiczny bez żadnego znaczenia.

P. Studnicki powie może, że między pojęciem patrjota a nacjonalista są tylko ilościowe różnice; nie będzie to jednak argumentem przeciwko mnie: różnice ilościowe przy pewnem natężeniu przechodzą w jakościowe.

Jeżeli dwa prądy polityczne rożnią się chociażby w jednym tylko ważnym punkcie, to można i należy nazywać je mianem odrębnem. Nauka musi coraz bardziej wysubtelniać pojęcia i znajdować w zjawiskach nie podobieństwa jedynie, ale i różnice.

W drugiej części swego artykułu p. Studnicki poucza nas, że polscy rewolucjoniści, walcząc w roku 1849 razem z Węgrami przeciwko Austrji, nie robili tego w imię solidarności narodów uciśnionych, lecz w myśl zdrowej zasady, że wrogowie naszych wrogów są naszymi przyjaciółmi.

Otóż solidarność narodów uciśnionych nie jest niczem innem, jak wyrazem powyższej zasady. Jeżeli jednak interesy uciśnionych narodów są solidarne, to solidarność ta nie jest jednakową. Interesy narodów jednakowo uciskanych przez jedno państwo są sobie bliższe, aniżeli zajmujących odległe terytorja i gnębionych przez różne rządy.

Jak każda zasada w polityce, tak też zasada solidarności narodów uciśnionych nie jest bezwzględną.

Sama idea wolności narodów, swobodnego rozwoju ich indywidualności ma jednak doniosłe znaczenie, oddziaływa bowiem na umysły, pozostawiając w nich mniejsze, lub większe ślady.

Usamowolnienie Irlandji nie miałoby bezpośredniego natychmiastowego praktycznego znaczenia dla społeczeństwa polskiego, gdyż kraj ten zbyt jest od nas odległy, niezawodnie jednak wywarłoby dodatni wpływ w Europie, spopularyzowałoby ideę niezależności narodowej, dodałoby odwagi i wytrwałości walczącym o wolność ludów i t. p.

Z własnej naszej historji porozbiorowej wiemy, że wolność jednego narodu wpływa ożywczo na inne uciśnione: zjednoczenie się Włoch bez Rzymu w roku 1860 miało olbrzymi wpływ na nasze społeczeństwo, przyczyniło się bowiem bardzo do wypadków 1861 i 1862, oraz 1863 i 1864.

P. Studnicki robi chętnie innym zarzuty — doktrynerstwa, posługiwania się formułami i t. p

sam jednak ma swoje własne, które stosuje w sposób ogolnikowy do wszystkich zagadnień. Naprzykład jego ulubionem twierdzeniem jest, że prawo jest wyrazem interesów i bez siły nie ma znaczenia.

To pojęcie o prawie jest słuszne, ale zbyt ogólnikowe i nic samo przez się nie mówi, chodzi tu bowiem o to co nazwać siłą i interesem. Pewne zasady polityczne, często etyczne, o ile nie są metafizyczne i ogólnikowe, są także wyrazem interesów i sił. Zasada równouprawnienia narodowości, jak równość cywilna, równość w obec prawa jest wyrazem interesów jednostek w społeczeństwie.

Antagonizmy narodowościowe były, są i długo jeszcze będą istniały, nikt nie neguje ich obecności, chodzi tylko o to, w jakiej mają się przejawiać formie.

Wszak były czasy zemsty rodowej, ciągłych brutalnych walk osobników i grup w społeczeństwie; po pewnym jednak czasie większość ludzi przyszła do przekonania, że interesy ich wymagają ustroju politycznego, zapewniającego równouprawnienie, uznano potrzebę jednego prawa cywilnego i karnego.

Przez zaprowadzenie takiego prawa walka między jednostkami i grupami nie zniknęła, tylko stała się łagodniejszą, zmieniając swą formę.

Równouprawnienie narodowości w państwie nie zniesie jeszcze walki narodościowej, ale uczyni ją kulturalniejszą, a wynik jej uzależni od czynników głębszych, związanych silniej z istotą narodowości nie zaś od okoliczności przelotnych, zawisłych od takich lub innych poglądów władz rządowych.

P. Studnicki powie nam zapewne, że łatwiej jest zaprowadzić równość cywilną obywateli, aniżeli równość praw narodowościowych w państwie; zapewne, ale z tego nie wynika, że ta ostatnia jest niemożliwą — utopją.

Jeżeli sięgniemy okiem wstecz, to z łatwością spostrzeżemy, że w ciągu ostatnich lat 60-u na ogół równouprawnienie narodowości w państwie i wyzwalanie się ich zupełne robi znaczne postępy.

O sfederowaniu się wszystkich narodów w Europie w jedną całość z równemi prawami dla wszystkich, małych i potężnych — dziś jeszcze mowy być nie może; nie wynika jednak z tego, aby idea zbliżenia się narodów nie robiła pewnych postępów.

O stosunku socjalizmu do narodowości i międzynarodowości pomówię kiedyindziej.

Walczenie w imię wolności własnego narodu a jednocześnie zachęcanie do tamowania rozwoju innego jest bardzo szkodliwe. Ogół nie składa się z samych fachowych polityków którzy ciągle śledzą przebieg wypadków politycznych i każdy z nich oceniają z punktu widzenia chwilowych okoliczności i interesów, lecz w większości swej z ludzi, mających bardzo małe wykształcenie polityczne, kierujących się wskazówkami przewódców partyjnych, albo tradycyjnymi poglądami.

Otóż ogół ten, tworzący naród, może się tylko zdemoralizować politycznie pod wpływem nacjonalizmu, zalecanego przez p. Studnickiego.

W społeczeństwach, jak nasze, niebezpieczeństwo to jest jeszcze większe. Jeżeli zaczniemy uznawać słuszność polityki angielskiej w obec Irlandji, tureckiej w obec Ormian, jeżeli zechcemy sami tamować rozwój narodowy rusinów: to niewątpliwie staniemy się mniej wrażliwi, przy innych warunkach równych na nasz ucisk przez niemców i rosjan w zaborze pruskim i rosyjskim.

Walki kulturalno-narodowościowej, odbywającej się od wieków, nie można upodabniać do wojny w dosłownem znaczeniu tego słowa. Wojna nie może trwać bez przerwy. Polityka, zalecana przez p. Studnickiego, jest pobudką do wojny, która nas tylko wyczerpać może, nie dając w zamian pewnych korzyści. Polityka taka względem rusinów musiałaby prędzej, czy później doprowadzić obydwie narodowości w Galicji do stanu walki fizycznej, brutalnych utarczek, któreby nie doprowadziły sporów narodowościowych do końca, gdyż żadna ze stron nie mogłaby odnieść zupełnego zwycięstwa.

Pan Studnicki, mówiąc o charakterze narodowym i myśli narodowej, powtarza znane ogólniki, że żyd, mówiący po polsku i działający w interesach kraju może po polsku nie myśleć itp. Twierdzi dalej, że różnice psychiczne między narodowościami istnieją, chociaż są nieuchwytne.

Różnic tych nie zaprzeczałem, twierdziłem tylko i twierdzę, że ponieważ nie jesteśmy w stanie ich ująć i sformułować, gdyż są nieznaczne, ani z nich dokładnie sobie zdać sprawy, nie możemy więc na nich budować programów polity-

cznych, ani taktyki w obec różnych żywiołów narodowych, znajdujących się wśród naszego społeczeństwa.

P. Studnicki zupełnie gołosłownie twierdzi, że żydzi przyczynili się do powstania u nas programu pracy organicznej i rozbudzenia ruchu pozytywistycznego.

Pogląd ten wydaje mi się zupełnie nieuzasadnionym.

Program pracy organicznej w polityczno-kulturalnem słowa tego znaczeniu był już sformułowany przed powstaniem 1863 r. przez Kaczkowskiego Zygmunta i innych.

Po ostatniem zaś powstaniu w zaborze rosyjskim i Galicji pracę organiczną zalecali rodowici polacy, arystokraci i demokraci, tacy jak: Świętochowski, Ochorowicz, Tarnowski, Szujski, Koźmian i wielu innych. Prawdą jest, że żydzi przyjęli ten program, ale także chwycili się go polacy.

Co zaś do pozytywizmu, jako kierunku, filozoficznego, to zarysował on się u nas już w dziełach Śniadeckiego, a po części nawet Kołłątaja: po wypadkach 63 roku, jak i program pracy organicznej, zyskał on wielu bardzo zwolenników, polacy byli głównymi jego krzewicielami — dość wymienić; prócz Świętochowskiego, Chmielowskiego i Ochorowicza, jeszcze Bogackiego, Smoleńskiego, Bema, Dygasińskiego, ks. Krupińskiego, Limanowskiego i wielu innych.

Oczywiście byli i żydzi pozytywiści, ale nie oni byli jego głównymi apostołami.

Tragi-komiczną stroną sytuacji p. Studnickiego, jako pisarza politycznego i polityka, jest to, że wbrew własnej teorji, chce on stworzyć nowe normy prawne, nie znajdując dla ich urzeczywistnienia sił w społeczeństwie.

P. Studnicki chciałby zwalczać nie tylko rządy zaborcze, lecz całe społeczeństwa, jak niemieckie, rosyjskie, słowian w ogóle, w końcu jeszcze żydów, a specjalnie rusinów; wszystkich tych „wrogów“ chciałby pobić jednocześnie zapomina jednak, że pogróżki to parodja siły, to tylko subjektywny wyraz uczuć.

Ale p. Studnicki pociesza się łatwo: z głębin „polskiego charakteru narodowego“ dochodzi go kojący szept „jakoś to będzie“.

Ludwik Kulczycki.

Dr. B. DYBOWSKI

O znaczeniu i doniosłości teorji mutacyjnych i ewolucyjnych w nauce i w życiu.

II.

Gdy wszakże na nizinach umysłowych społeczeństw ludzkich panuje dotąd mrok jaskiniowy, noszący u nas na Litwie nazwę słuszną ciemności egipskich, za to w świecie nauki przyrodniczej jasno się stało od słońca teorji ewolucyjnych, to też wiedza wyprzedziła o całe niebios przestrzenie ignorancję ogólną, która trwa uporczywie przy teorjach mutacyjnych, wsparta na autorytecie filozofji idealistycznej, zarażonej szowinizmem mędrców starożytnych.

Obecnie kroczą nauki przyrodnicze raźno naprzód, dzięki teorjom rzeczonym i dzisiaj mamy to pocieszające przekonanie, że światło od nich płynące dostanie się z czasem i do umysłów, stroniących teraz jeszcze od tego światła lękliwie. Pobieżny zarys drogi, po której kroczyło przyrodoznawstwo przy pomocy teorji transformistycznych przedstawiam poniżej.

Obecnie mija lat 93 od daty, kiedy teorje mutacyjne o powstawaniu jednorazowem cudotwórczem istot zwierzęcych i roślinnych na ziemi zastąpione zostały teorją nową, ewolucyjną, na naukowych zasadach opartą.

Sławny uczony francuski Jan Lamarck (Jean Baptiste de Monet Chevalier de Lamarck) urodzony 1744 zmarły 1829, wydał w roku 1809 dzieło

dwutomowe noszące tytuł „Filozofji zoologicznej“; tutaj po raz pierwszy wyłożone zostały umiejętnie zasady teorji, która następnie świat myśli naukowej przeobraziła w zupełności.

Teorja owa miała swoich poprzedników pośrednich i bezpośrednich, do pierwszych liczyć można Kopernika, tutaj również należą te osobistości, które się przyczyniły do wywołania potężnych przełomów umysłowych zaznaczonych reformacją i przez wielką rewolucję francuską. Wiara bezwzględna w autorytety, stanowiąca straszne zapory dla postępu, pokonaną była, a rozumowi została wskazaną droga dla badań i dla wniosków logicznych na nich osnutych. Obok tego miał już Lamarck poprzedników bezpośrednich w dziedzinie biologji, wszakże byli to dyletanci, najczęściej o mglistych, niewyraźnych jeszcze poglądach; z nich wymienię Empedoklesa w starożytności i dwóch współczesnych Lamarckowi, Benedykta de Maillet i Erazma Darwina, dziadka nieśmiertelnego Karola. Często stawią Goethe'go w rzędzie ludzi, posługujących się teorją ewolucyjną, w celu objaśnienia powstawania form ożywionych, może i słusznie, albowiem w wielu ze zdań sławnego poety i głębokiego myśliciela wyzierają wyraźnie poglądy ewolucyjne, lecz nie powiązał on myśli swoich w jednolitą całość, bo uczynić tego nie mógł, nie będąc przyrodnikiem.

U Empodokles'a świtała już myśl o teorji doboru naturalnego, czyli selekcji, lecz wypowiedział on ją dosyć dziwacznie. I tak przyjmując cztery elementy starożytności: ogień, powietrze, wodę i ziemię i dwie siły zasadnicze: miłość i nienawiść, rozumiał, że w skutek działalności sił owych na elementy, powstały nasamprzód rośliny, a potem zwierzęta, i to w ten sposób, że się początkowo wytworzyły części ciała, kazde z osobna, że następnie te części dobierały się wzajemnie, spajały, aż po wielu próbach nieudanych, drogą przypadku powstawała nakoniec całość doskonała, mająca warunki istnienia i rozmnażania się.

W sposób podobny można byłoby sądzić, że na dnie marzeń Empedoklesa leżały nawet osnowy myśli o kolonjach zwierzęcych i roślinnych, jasno pojętych dopiero przez Edmunda Perrier'a w końcu ubiegłego stulecia.

Erazm Darwin przyjmował stopniowe przeobrażenie, wskutek przystosowywania się organizmów do zmiany w warunkach życia, przyczem z najprostszych form według niego powstawały coraz doskonalsze. Nareszcie B. de Maillet bardzo wyraźnie wypowiedział zdanie, jakkolwiek wsparte fantastycznymi dowodami, że gatunki zwierzęce przeobrażają się i przybierają nowe formy, z racji, zmienionego sposobu życia. Ponieważ Voltaire znał poglądy de Maillet'a, bo je wyśmiał w swych pismach, więc też i Lamarck mógł o nich wiedzieć, to też słuszną czyni uwagę Prof. Rostafiński powiadając, że „kto wie czy nie de Maillet stał się przyczyną, iż Lamarck zajął się pytaniem o pochodzeniu gatunków“, z drugiej strony jednak można śmiało powiedzieć, że myśl zasadnicza teorji przeobrażeniowej leżeć musi zawsze w głębi każdego logicznie sądzącego umysłu.

Otóż gdyby ten słaby impuls ze strony de Maillet'a był nawet prawdopodobnym, to lawina myśli, która powstała w skutek bodźca tak nieznacznego, jest już dziełem własnem Lamarcka, bo jakkolwiek idea o transformizmie istot ożywionych kiełkowała już uprzednio w wielu umysłach, lecz ona dojrzała dopiero i plon obfity wydała w umyśle geniusza. Teorję swoją całą wypowiedział i wyłożył znakomity uczony w zdaniach mniej więcej następujących:

„Systematyczny podział istot ożywionych na gromady, rzędy, rodziny, rodzaje i gatunki, tak dobrze jak i same ich nazwy są dowolną czynnością rozumu ludzkiego.“

„Gatunki jestestw ożywionych nie są jednoczesne, były takie, których niema w danej chwili i będą takie, których dotąd nie było na świecie, one rozwijają się jedne z drugich i posiadają tak zwaną „stałość cech“ tylko względną. Z odmian powstają z biegiem czasu gatunki, z gatunków rodzaje i t. d.“

„Rozmaitość warunków bytu oddziaływa na ustroje i powoduje ich zmienność, tak odnośnie do ogólnej formy ciała, jak i do pojedynczych narządów. Z samego początku isniały najniższe, czyli najprościej zbudowane zwierzęta i rośliny, dopiero później powstawały kolejno coraz wyższe o coraz bardziej zawiłej budowie swego ciała.“

„Rozwój geologiczny kuli ziemskiej i jej form ustrojowych odbywał się jednociągle, nie będąc przerywany, lub niszczony doszczętnie zaburzeniami gwałtownemi, powszechnemi“. (Jak to za czasów Cuvier'a przyjmowano ogólnie. Teorja katastrof).

Życie jest przejawem sił mechanicznych. Wszystkie zjawiska życiowe“ (a więc duchowe

czuciowe, ruchowe) „są to skutki przyczyn mechanicznych, fizycznych i chemicznych, mają one swe warunki istnienia w budowie samej materji organicznej ciała ustrojowego.“

Najprostsze rośliny i zwierzęta powstały drogą takzwanego samorodztwa, z materji nieorganicznej.“

„Wszystkie istoty żyjące podlegają tym samym prawom, co i ciała nieżyjące, czyli nieustrojowe.“

„Nasze idee i inne wszelkie przejawy rozumu, są to zjawiska ruchu, który się odbywa w systemie centralnym nerwowym, czyli w ośrodkach nerwowych, mianowicie w mózgu.“

„Wola nie jest nigdy wolną.“

„Rozum jest tylko stopniem wyższym rozwojowym czynności mózgowych niższych kategorji.“

W tem treściwem zestawieniu głównych podstaw teorji Lamarcka mieści się prawie wszystko to, co stanowi jądro teorji ewolucyjnych.

Że ludzie żyjący na ziemi zaledwie chwilkę jedną, drobną czasu w porównaniu z ogromem wieków istnienia wszechświatowego, tych zmian i przeobrażeń, które się odbywają stale i koniecznie widzieć nie mogą, objaśnił Lamarck przykładem następującym:

Gdyby człowiek żył tylko sekundę, to dla niego ruch wskazówki godzinowej na zegarze nie egzystowałby wcale, a nawet 30 po sobie następujących pokoleń ruchu tego dostrzedz nie byłyby wstanie. Długość życia ludzkiego, a nawet ludzkości kulturalnej, porównana z perjodami czasu, koniecznymi dla uwidocznienia ruchu przeobrażeniowego, jest o wiele mniejszą niż sekunda wskazana w przykładzie uprzednio wymienionym i porównana do godziny. Że żaden z poprzedników Lamarcka nie miał tej świadomości powolnego, jednociągłego, stopniowego przeobrażenia się istot ożywionych, zdaje mi się, że jest rzeczą pewną. Były to w ogóle próby jeszcze bardzo mgliste, obłoczkowe, dopiero z tych mgławic uformowała się w umyśle Lamarcka gwiazda jasna, świecąca, promienna, samowiednie przez niego do istnienia powołana. Również nikt przed nim nie wypowiedział tak stanowczo myśli, która tak ważną odegrała rolę we wszystkich późniejszych teorjach ewolucyjnych, a mianowicie zaznaczył on, że przyroda ma zawsze czas na swoje usługi, i że przy pomocy jego dokonywa cudów. Czas występuje tu jako czynnik najpotężniejszy bez wszelkich ograniczeń, z tym nieocenionym wspólnikiem wytwarza natura największe rzeczy, używając pozornie małych i nic nie znaczących środków. Krople deszczowej wody rzeźbią olbrzymie góry, zdobiąc je obszernemi i głębokiemi dolinami, wąwozami, przepaściami. Ktoby zwiedzając nasze wspaniałe gory, mógł przy nieświadomości o tym potężnym działaczu, jakim jest czas, uznać krople deszczowe za czynnik, wykonywający pracę olbrzymów? A wszakże przeważna część łańcuchów górskich, z ich rzeźbą malowniczą, całe zatoki morskie, wszystkie pokłady osadowe, niekiedy tysiące metrów mierzące, wytworzyły się za pomocą słabych sił, ale działających w przeciągu niezliczonych tysięcy stuleci. Zrozumienie jasne potęgi czasu jest wielką zasługą Lamarcka.

Taką słuszną i genjalną oceną znaczenia i wartości kształtniczej czasu złamany został przesąd, tyle szkodliwy dla wiedzy, o kilkutysiącletniej zaledwie epoce istnienia wszechświata, zarazem zdeptaną była też hydra zabójcza dla myśli o cudotworczem powstawaniu, raptownem, łańcuchów górskich i form zwierzęcych, tutaj także miała miejsce pierwsza i stanowcza porażka teoryj mutacyjnych, królujących wszechwładnie do owego czasu, przyczem zadany był cios śmiertelny teorjom celowości w przyrodzie. Oceniając genjalne idee Lamarcka powiada o nich Prof. Ernest Haeckel, że są zadziwiająco — śmiałe, wzniosłe i wszechstronne. Zdumiewają one nas tem bardziej, że w chwili, gdy ogłoszone zostały, nie można się było oprzeć jeszcze na faktach niezbitych, jakie posiadamy dzisiaj w ilości obfitej.

Poglądy Lamarcka są na wskróś monistyczne i mechaniczne. On uznaje jedność przyczyn działających w całej przyrodzie (causae efficientes), bierze za podstawę fundamentalną tych przyczyn właściwości fizyczne i chemiczne materji, zaprzecza obecności jakiejbądź siły życiowej szczególniejszej i wszelkiej celowości ustrojowej (causae finales). Uznaje pochodzenie wszystkich organizmów z niewielu form prarodzicielskich, o bardzo prostej budowie, które powstały drogą przeobrażenia z materji nieorganicznej. Nie uznaje przerw powszechnych w jednociągłości rozwojowej, a przedewszystkiem usuwa cudowność twórczą i celowość.

Ażeby ocenić teorję Lamarcka ze stanowiska naukowego, słów parę powiedzieć musimy o zadaniach i celach teorji każdej w ogólności.

Pierwszem zadaniem teorji naukowej jest poznanie procesu, odbywającego się w przyrodzie a dla nas niezrozumiałego, następnem jej zadaniem jest wyjaśnienie przyczyn, wywołujących ów proces.

Każda tedy teorja naukowa ma dwa zadania do spełnienia. Teorje biologiczne mają: morfologiczne i fizjologiczne, teorje abiologiczne mają zagadnienia: mechaniczne i fizyczne do rozwiązania. Pierwsze z nich ogranicza się do wykazania drogi, po której dane zjawisko się odbywa. Drugie natomiast ma na celu wykazanie przyczyn działających i powodujących przebieg zjawiska obserwowanego.

Tak np. teorja astronomiczna Kopernika wykazała drogi, po których planety odbywają obieg swój do koła słońca, więc uczyniła zadość zadaniu pierwszemu mechanicznemu. Dopiero prace Keplera i Newtona wyjaśniły przyczyny, wywołujące ten obieg, czyli spełniły zadanie drugie, fizyczne, a to przy pomocy teorji grawitacji — czyli ciążenia wszechświatowego.

Zadanie pierwsze może być zawsze dokonane bez drugiego, przyczem jednak teorja sama pozostaje pewną i niewzruszoną, jeżeli tylko potrafi objaśnić i połączyć w jedną całość wszystkie obserwacje dokonane, a nadto gdy służyć będzie za przewodnika i tłumacza w dalszym ciągu, przy odbywających się nowych spostrzeżeniach. Taką była teorja Kopernika, i taką jest, była i będzie teorja ewolucyjna Lamarcka, odnośnie do pierwszej części swego zadania, czyli zadania morfologicznego.

Rodzaj ludzki, twierdzi Lamarck, powstał z formy prarodzicielskiej o wyglądzie małpim i chodzie, właściwym istotom żyjącym przeważnie na drzewach, ale jeszcze nie o tyle zróżniczkowanej, zespecjalizowanej jaką mają dzisiejsze małpy. Przeobrażenie w kierunku trzymania się pionowo nastąpiło w skutek powolnego, przez cały szereg pokoleń trwającego przyzwyczajenia do chodzenia na dwóch nogach. Wzniesienie głowy i stosu kręgowego do góry i ustawiczne dążenie do trzymania się prosto wywołało przekształcenie odnoży przednich i tylnych, które zmieniły się na górne i dolne, pierwsze z nich stały się narządami chwytnymi, drugie specjalnie chodowymi. U dolnych kończyn rozwinęły się mięśnie łydkowe i stopy, dotykające powierzchni ziemi całą podeszwą, u górnych natomiast wykształciły się ramiona i ręce, mające typ kończyn górnych człowieka.

Trzymanie się prosto uczyniło możebnym swobodny rzut oka w dal przed siebie i przez to samo wzmocniło znacznie postęp w rozwoju intelektualnym, a wraz z tem i rozwój narządu wzroku. W ten sposób ludomałpy uzyskały znaczną przewagę nad innymi, bliższymi swymi ówczesnymi pobratymcami, a zarazem i nad całym światem ustrojowym.

By łatwiej zachować panowanie nad otoczeniem, ludomałpy łączyły się w gromady, w skutek czego zrodzoną była potrzeba porozumiewania się wzajemnego, udzielania towarzyszom swych pragnień, swych myśli. Tym sposobem wytworzyła się z czasem mowa, zrazu o surowych dźwiękach, następnie coraz bardziej urozmaicona i kształcona, aż powstała z niej „mowa członkowana“ dla wypowiadania myśli i śpiew dla wyrażania strony uczuciowej duszy istot zwierzęcych.

Utworzone pośredniki myśli i uczuć stały się potężną dźwignią dla szybszego rozwoju umysłu, dla rozwoju mózgu, siedliska inteligencji.

Wynalazłszy broń odporną i zaczepną, małpoludy już nie miały potrzeby używać pięści, pazurów, a przedewszystkiem kłów swoich, szczęki się zmniejszyły, ilość zębów zeszła do 32, twarz wyszlachetniała i postępując w kierunku wskazanym małpoludy przeobraziły się powoli w ludzi, których rozwój stopniowy doprowadził w dalszym ciągu do stanu kulturalnego.

Pomimo tego, że teorja Lamarcka była jasno wyłożoną, popartą faktami i logicznie udowodnioną, nie znalazła jednak uznania ani u współczesnych, ani u bezpośrednio po nich następującego pokolenia; przełomu gwałtownego nie uczyniła. Teorje mutacyjne były wtedy za nadto głęboko w umyśle badaczy zakorzenione, ażeby je można było za jednym razem usunąć.

Myśl przewodnia transformizmu wszakże kiełkowała dalej, aż ostatecznie, przy pomocy nowych prac genjalnych, wybić się zdołała do góry i stanąć na poziomie idei kierowniczej dla wszystkich nauk, na całym obszarze wiedzy ludzkiej.

Prawie współczesny Lamarckowi, uczony francuski g. Geoffroy de St. Hilaire, urodzony w roku 1771 zmarły w r. 1832. ogłosił swe poglądy dopiero w roku 1832 na kilka dni przed śmiercią i to tylko w ulotnem piśmie pod tytułem „Zasady filozofji zoologicznej“, wystąpił on z pracą drukowaną w 23 lata po Lamarcku, ale kilka lat jeszcze przed tem bronił tez swych na sławnych

plenarnych posiedzeniach akademji francuskiej, któremi się tak gorąco interesował Goethe. Próby przekonania Cuvier'a okazały się jednak bezskutecznemi, albowiem w obec przewagi autorytetu teorji katastrof zwyciężyć nie potrafił. Geoffroy de St. Hilaire przyjął w zupełności zasady teorji ewolucyjnej, zrozumiawszy całą jej doniosłość naukową, zeznawał bowiem, że ona dopiero czyni wiedzę biologiczną nauką prawdziwą, usuwając na stronę cudowność, która jest formalnem zabójstwem dla wszelkiej logiki, więc i dla wszelkiej wiedzy.

Niestety nieraz i w niniejszej dobie daje się słyszeć, z ust przedstawicieli nauki, pochodzące zdanie, że cudowność daje się pogodzić z wiedzą, jest to fałsz oportunistyczny, albowiem dokąd wkracza cudowność, tam ginąć musi nauka, a ta znowu ze swej strony usuwa wszelką cudowność. Są to więc dwa poglądy wykluczające siebie wzajemnie.

Uczony badacz, wyżej wspomniany przyjąwszy główne zasady ewolucyjne, różnił się od Lamarcka w poglądach swoich odnośnie do czynników, wywołujących przeobrażenie istot ożywionych: Według jego zdania organizmy są biernemi niejako istotami wobec warunków otoczenia, wtedy gdy Lamarck uważał je za czynne. Wpływy zewnętrzne są zdaniem G. d St. Hilair'a jedynymi czynnikami przemiany.

Myśl logiczna, dotycząca rozwoju świata całego drogą ewolucji, niezależnie od obu wyżej wymienionych uczonych, występowała raz poraz w różnych czasach, wypowiadana przez badaczy. Tak np. sławny filozof angielski Herbert Spencer prawie w każdem z dzieł swoich, poczynając od r. 1852, wykładał w sposób filozoficzny potrzebę konieczną teorji pochodzenia i to dla całego zakresu wiedzy ludzkiej. Tomasz Huxley, najsławniejszy z zoologów angielskich wykazał w roku 1859, że teorja pochodzenia jest jedyną konieczną dla każdego, chcącego zrozumieć dzieje ukształtowania się organizmów. Twórca nowożytnej geologji, Karol Lyell już w roku 1830 zastosował zasady teorji ewolucyjnej Lamarcka w celu wytłumaczenia wszelkich objawów rozwoju geologicznego na kuli ziemskiej, odbywającego się w ciągu niezliczonego wieków szeregu. Emanuel Kant i Laplace — niezależnie jeden od drugiego, użyli teorji stopniowego, powolnego rozwoju dla objaśnienia powstania świata słonecznego i innych światów, bez porównania większych od tego, którego cząstkę drobniutką stanowi ziemia.

Część morfologiczna zadania teorji ewolucyjnej, mianowicie wskazanie drogi rozwojowej światów całych, ziemi i istot organicznych, była tak jasno pojęta, tak logicznie udowodniona, że się stała nareszcie normą myślenia dla ludzi, umiejących posługiwać się logiką zdrowego rozsądku, opartą na faktach wiedzy przyrodniczej.

Lecz nie tylko dla rozumu wytworzyły teorje ewolucyjne dźwignię potężną, zasadniczą, one również znakomity stanowią czynnik w celu uszlachetnienia strony uczuciowej umysłu ludzkiego. Pod ich wpływem zniknąć dopiero mogą owi „Półbogowie“, „Faraonowie“, „Bonzowie“ etc., którzy byli i są przekonani, że świat cały jest dla nich stworzony, w proch się też rozsypać powinny przekonania egoistyczne ludów, tak zwanych wybranych, o ich rzekomym namaszczeniu i wyróżnieniu z pomiędzy innych wszystkich, dziecinne urojenia o rodach arystokratycznych pierzchnąć będą musiały jak mgły przed ciepłymi promieniami słońca. Teorje ewolucyjne uczą: że skromność, umiarkowanie, trzeźwość i czystość zająć powinne miejsce buty, arogancji, zbytków, opilstwa i rozpusty, że miłość i szlachetność zastąpić mają miejsce nienawiści i nikczemności. Takie to są dodatnie strony wpływu teorji ewolucyjnych na etykę. „Wszyscyśmy bracia“ głosi transformizm, bo z jednego pochodzimy pnia prarodzicielskiego, więc objąć powinniśmy miłością rodzinną świat cały ziemski, zaś ku światom zaziemskim, olbrzymim, skierować mamy nasze myśli, by się pozbyć nareszcie tej wstrętnej, barbarzyńskiej zarozumiałości, kształconej w ciągu wieków, pod wpływem teorji mutacyjnych. Tępienie narodowości (ausrotten) „nawracanie niewiernych“, „borby“ wszelkiego rodzaju, a następnie życie niemoralne jednostek i całych państw, oto są kwiaty pielęgnowane przez owe teorje; one ustąpić muszą przed poglądami nowymi, najwznioslejszymi, jakie myśl ludzka dotąd wysnuć potrafiła.

Być dobrym i cnotliwym za zapłatą, jest zasadą najniemoralniejszą w świecie i chcieć tedy, by taka zasada kształciła ludzkość, wiodąc ją ku moralności, jest absurdem logicznym. Kłamać ciągle,

okłamywać siebie i innych, drżeć samym i straszyć wszystkich przed kontrolą rozumu, jest to głupota, granicząca z idjotyzmem. Prawda tylko kontroli rozumu się nie boi, przemawia do serca i rozsądku jasnemi dowodami i opiera wszelkie swoje zasady i wnioski na logice najściślejszej.

Kazimierz Króliński

Z BESKIDU.

(PRZED BURZĄ).

Cisza... Jakieś bolesne milczenie zapadło
Na urwiska... Bór drzemie po zimowym wichrze,
Drzemią szczyty... Potoki skalne coraz cichsze,
Coraz głuchszy szum jodeł... Zda się, że wahadło

Czasu stanęło... W dole jeziora źwierciadło,
Oprawione w mgieł ramy, zastyga pomału
W martwą i gładką szybę z połyskiem kryształu —
Na niej rysują duchy słońca twarz pobladłą...

Cisza... Z zachodu ciągną chmur szare bałwany...
Za chwilę wstanie wicher srogi, rozpasany,
W paszczęce swej wędzidła Natury rozluźni,

Rozdmucha błyskawice, jak ognisko w kuźni
I... cud wydrze Niebiosom... Klękajcie niegodni!
On wam ogniem piorunów tę ziemię zapłodni!...

STEFAN RYCERSKI.

PUŚCIZNA BRZESZCZA.

(C. d.)

Tymczasem Naci nie wiedzieć co roiło się w głowie. Może była to słuszna kara. On dla spokojnego kąta zaparł się Boga, ona dla zbytku mogła się zaprzeć uczciwości. A matka? — Taka tam matka! gotowa ją sama poprowadzić na złą drogę. Stary coś przeczuwał, czegoś się lękał, choć matka i córka kryły się przed nim ze wszystkiem.

Temu zwalanemu rozbitkowi życia jedna już rzecz tylko leżała na sercu: uczciwość córki. Uczciwość tę stosował do swego poziomu, ale drżał, by nie upadła ostatecznie. Rozumiał, że z nią było źle, a przeszkodzić niczemu nie mógł, wiedział, że nie podoła.

Matka i córka czas jakiś szły ręka w rękę. Ale to długo trwać nie mogło. Nacia była samowolna i nie nawykła nikogo słuchać. Polityka Jedniewiczowej sprzykrzyła jej się szybko. Cóż z tego, że miała w komodzie dużo ślicznych klejnotów, a matka nabitą portmonetkę, kiedy siedziała dotąd na popowszczyźnie. Rzeczy nie szły tak, jak iść były powinny. Należało jej się własne mieszkanie w jakiem mieście, stroje, zabawy, podróże, wpierw jeszcze, nimby została panią Mar-

ską. A tymczasem wszystko wydać się mogło i pani Teresa, jak to już raz uczyniła, mogła wysłać Ignasia na drugi koniec świata.

Umyśliła więc działać wedle własnej głowy. Ignaś obiecywał jej zawsze, że ją zawiezie do Wiednia, Paryża, Włoch, gdzie tylko zapragnie, że kupi jej, co będzie chciała. Dla czegoż nie miałaby jechać i używać? O małżeństwie wprawdzie Ignaś nigdy nie mówił, no, i ona nie mówiła o niem także. Przeczuwała, że o ten warunek wszystko rozbić się może. Ale później, później, — któż mógł wiedzieć, co później nastąpi. Jej rzeczą było wyzyskać okoliczności... A wreszcie, gdyby nawet nie została panią Marską, mogła złapać kawał fortuny Marskich i żyć sobie wesoło.

Nie było czego namyślać się i czekać.

Ułożyła w głowie najpospolitszy z forteli. Oto ojciec zmusza ją do małżeństwa z tym synem popa z Bielin. Ona jednak prędziej utopi się, otruje, umrze, bo bez Ignasia żyć nie potrafi. Musi ją więc zabrać ukryć, ona ma tylko jego jednego na świecie, bo ojciec zabiłby ją, gdyby się domyślił, że do niego uciekła. Nacia nie ociągała się ze spełnieniem tych pięknych zamiarów. Zawezwała przez djaczka Ignasia, jakoby w bardzo pilnej sprawie, a gdy niespokojny przypłynął wieczorem tem samem czółnem z djaczkiem, który mu przyniósł wezwanie popadjanki, ona odegrała przygotowaną scenę z zupełnem powodzeniem, przekonała o grożącem jej niebezpieczeństwie, o tem, że musi ją zabrać lub stracić na zawsze.

Romans Ignasia zaczynał trącić tragedją, a on tragedji nie cierpiał. Nie mógł przecież Naci zostawić na pastwę okrutnego ojca, a gdy ona, cała drżąca, tuliła się do niego, kazał natychmiast djaczkowi wieść ich oboje do Urbicz.

Właśnie w tej chwili Berwicz, zaciekawiony na co potrzebną była łódź Jedniewiczom, przepatrywał brzegi rzeki, której czarna wstęga wiła się, zaledwie widzialna, w ciemnościach wśród moczarów, tataraków i olch nadbrzeżnych. Ciszę przerywało tylko dalekie szczekanie psa, odzywająca się z moczarów kapela żab i gwizd żółwi. Zdawało mu się także, iż dolatuje go miarowy plusk wiosła. Nie miał jednak czasu wsłuchiwać się w nie, bo ku brzegowi leciała kobieta, krzycząc i zawodząc. Po głosie poznał Jedniewiczową.

Czy Natalja nie była dość ostrożną i w sprzeczkach z matką, zdarzających się ciągle, zdradziła swoje zamiary, czy też ta ją podpatrzyła, dość że zmiarkowawszy ucieczkę córki, biegła, jak szalona, do rzeki, gdy nagle zamajaczyła przed nią wysoka postać i jakaś silna ręka pochwyciła za ramię.

— Jezus Marja! dokąd pani tak lecisz po nocy?

Poznała głos Berwicza i szarpnęła się, ale on ją trzymał, jakby w żelaznych kleszczach.

— Puść mię pan! — zawołała.

— Co u licha, czy się pani chcesz topić?

— To i co! gdybym się utopiła, nie pożałowałby mnie pan pewno.

— Żałować to nie, ale co ratować, tobym ratował, jakby się zdarzył wypadek.

— Puszczaj mnie pan!

— Ha! wolna wola! — odparł, odchodząc o parę kroków.

W tej chwili księżyc wschodzący przedarł się przez chmury i przy jego świetle ujrzeli oboje łódź, będącą już na środku rzeki, a w niej Ignasia i Natalję, przytulonych do siebie.

Berwicz patrzał szeroko otwartemi oczyma. Zacisnął pięści rozpaczliwym ruchem i stał, jak wryty.

Jedniewiczowa obliczała w myśli skutki tego spotkania i naturalnie nic obliczyć nie mogła. To tylko było rzeczą pewną, że się tajemnica wydała. Teraz nastąpi walka: Pani Marska, jej córki, Berwicz, cała rodzina Ignasia, kto żyw tylko stanie przeciwko jej Naci. Jedniewiczowa nie miała wyobrażenia, jak jej postąpić należało i w niepewności zaczęła szlochać i narzekać nad swoją nieszczęśliwą dolą i nad losem córki.

Jeśli miała zamiar rozczulić Berwicza, zachód był zupełnie stracony. Nie słyszał ani jednego słowa z jej żalów, nawet nie wiedział, że płakała, zapomniał, że była przy nim, zapomniał, że istniała. On widział tylko tych dwoje na oddalającej się łodzi.

Rzeczywistość przechodziła najgorsze przypuszczenia. To nie była nawet miłostka, która już przejmowała go oburzeniem, to był fakt poważny, porwanie, kto wie, może małżeństwo. Ta myśl zbudziła go jakby z letargu. Gwałtownym krokiem szedł wprost do stajni, sam osiodłał sobie konia i pocwałował do Urbicz.

W drodze już przyszło mu na myśl, po co tam jedzie, co zamierza? Wszak niema prawa, ani głosu żadnego. Ale coś go gnało bez pamięci. On tam być musiał. Zanim przecież przeprawił się przez rzekę i dopadł Urbicz, upłynęło dużo czasu. Dwór pogrążony był w milczeniu. Dowiedział się tylko, że pan wyjechał powozem, przed godziną, nie wiedziano dokąd.

Dnia następnego nikt w Malińcach nie widział Berwicza. Pani Teresa, mając jakiś interes, posłała po niego w południe i dowiedziała się, że wyjechał przed świtem.

Pojechał, sam nie wiedząc dokąd, byle się z nią nie zobaczyć. Zdawało mu się, iż wyczyta z jego twarzy nieszczęście gorsze od wszystkich innych. Wobec niego, śmierć była niczem. Tu szło o śmierć rodu, o śmierć idei, którą ród reprezentował, o hańbę Marskich. I to miało stać się przy nim, w jego oczach!

W pierwszej chwili pomyślał o Witoldzie i kazał Hryciowi jechać do Złotnik. W pół drogi przypomniał sobie, że Witold był w Wilnie i zawrócił do najodleglejszego folwarku Maliniec, byle dalej. A wołał ciągle na Hrycia: „Poganiaj! poganiaj!“ — nawet w piaskach, nawet pod górę, on, co był tak troskliwy o konie. Niby oglądał folwark szczegółowo od skiby do skiby, ale właściwie nie wiedział sam na co patrzał. Konie popasły i Hryć podjadł, ale on sam nie kazał sobie podać nawet szklanki mleka, choć naczczo z domu wyjechał, tylko siadł na ławce przed dworskim czworakiem, oparł głowę na ręku i zapomniał o czasie.

Hryć długo czekał, aż mu każą zaprzęgać, wreszcie widząc, że słońce się zniża, zajechał. Berwicz, słysząc turkot, podniósł niespokojnie głowę, spojrzał na Hrycia, na żwawe bułanki, które potrząsały jasnemi grzywami i po chwili zamyślił się znowu. Hryć kilka razy cmokał na konie, jakby przypominając, że czas jechać, aż znudzony, odezwał się, że noc za pasem, a do domu kawał drogi i wtedy dopiero pan jego, nic nie mówiąc, siadł na bryczkę.

Tym razem jednak nie naglił o pośpiech. Chciał przyjechać do Maliniec, kiedy już dwór cały będzie pogrążony we śnie. Nie był w stanie stanąć przed panią Teresą. Zdawało mu się, że ona wyczytała z jego oblicza to, co się stało i że ją ta wiadomość zabije.

Wczoraj jeszcze w nocy wysłał Maksyma po dalsze wieści, nie mógł jednak tak prędko się spodziewać jego powrotu.

Z chaosu bolów, niepokojów, męki ducha, wyłaniała się w jego głowie myśl jakaś, czy zawiązek myśli, i ta spędzała mu sen z powiek, mordowała, jak zmora. Chciał, a nie mógł się od niej uwolnić.

Berwicz był człowiekiem prostym, człowiekiem czynu. Przez całe życie widział jasno swoją drogę i szedł nią bez żadnego wahania. Spotykał się nieraz z obowiązkiem trudnym, ciężkim, niebezpiecznym, ale zawsze widział go wyraźnie i spełniał wedle sił.

Teraz powstało w nim coś nowego, dręczyło, szarpało duszą.

Po raz pierwszy w życiu, nie wiedział, co ma uczynić.

Ludzie nie poznawali go dnia tego, nie dziw, on sam nie poznawał siebie.

Bił się z myślami tak zawzięcie, iż nie wiedział, kiedy bułanki stanęły przed jego kwaterą. Było już koło północy, zsiadł z bryczki i nie zapalając światła, rzucił się na łóżko. Spał źle bardzo. A choć zmęczenie skleiło mu na chwilę powieki, zrywał się nagle, a przed oczyma stawała mu łódź i tych dwoje, oddalających się od brzegu, tych dwoje, którzy nigdy razem być nie powinni.

Byle tylko pani Teresa o tem nie wiedziała. Tak bardzo szanowano ją i kochano w domu, iż był pewny że z wieścią nikt ze służby nie przyjdzie, ale rzecz przecież długo ukryć się nie mogła. Zresztą traf... źli ludzie...

Gdyby przynajmniej Witold powrócił. Czuł instynktowną potrzebę, by nad Malińcami była silniejsza opieka, niż jego. Zabiła go własna jego bezsilność w obec wypadków.

Nad ranem zasnął twardo i obudził się pokrzepiony. Śnił mu się Brzeszcz. Zerwał się z posłania, zlał wodą pałające czoło, obmył zaczerwienione powieki, ubrał się pośpiesznie i poszedł do krzyża. Rzucił się na kolana w tem miejscu, gdzie padł męczennik i modlił się żarliwie, wznosząc w górę złożone ręce.

Kiedy dnia tego poszedł do pani Teresy, odzyskał z pozoru w zupełności zwykłą równowagę. Pytała go z troskliwością, czemu wyjeżdżał tak nagle, na dzień cały, ale on w sposób tak naturalny zmyślił jakąś naglącą sprawę, która wyma-

gała jego obecności, iż zrozumiała, że nie miał czasu jej uwiadomić. Zauważyła, że był blady. Tłumaczył się zmęczeniem. Wszakże już ósmy krzyżyk dźwigał na barkach.

Potem zaczął mówić długo i poważnie o różnych sprawach, tyczących się interesów i gospodarstwa Maliniec. Zastanawiał się nad charakterem oficjalistów, dawał co do nich wskazówki, w jakiej mierze zasługiwali na zaufanie, jakie były ich zdolności.

Ona słuchała go trochę zdziwiona, a on dodał:

— Bo widzi Teresia, ja pewnie już niedługo podołam wszystkiemu. A teraz ludzie bywają rozmaici, nie tak jak dawniej, kiedy to łajdaków było mało i zaraz każdego można było poznać od pierwszego spojrzenia.

Pani Teresa chciała mu przerwać, ale on mówił dalej:

— Marynia powinna iść za mąż. Czego się namyśla? Takiego człowieka Bóg zesłał na pociechę. A patrzy w nią, jak w obraz cudowny. A i ona też mu nie krzywa.

(C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. Piotr Chmielowski. *Dramat polski doby najnowszej*. Lwów, 1902. Nakładem księgarni H. Altenberga.

Literatura krytyczna o poezji naszej lat ostatnich pomnaża się szybko. Dość będzie powiedzieć, że ostatnich pięć miesięcy przyniosło aż pięć prac obszerniejszych. Z pomiędzy nich wyróżnia się bardzo korzystnie omawiana praca zasłużonego historyka literatury, zarówno umiarkowaniem i wytrawnością sądu, jak też niemniej przejrzystością przedstawienia. Książka omawiana powstała z wykładów, jakie ubiegłej zimy wygłosił dr. Chmielowski na uniwersytecie powszechnym we Lwowie. Stąd też dźwięczy w niej ton popularny.

Najlepszy, największe robiący wrażenie, jest początkowy rozdział, w którym autor kreśli w ogólnych zarysach nastrój bieżącej chwili i zastanawia się nad jego sposępnieniem. Naszem zdaniem — dotąd jeszcze, mimo tylu prac z zakresu najnowszej naszej literatury, nikt nie odkrył i nie wskazał tak trafnie przyczyn, składających się na melancholję nowoczesnego pokolenia artystów, nikt nie sięgnął tak głęboko, jak właśnie szan. autor. Na tem ogólnem tle usposobień i dążności bieżącej chwili kreśli dr. Chmielowski najważniejsze kierunki, w jakich postępował nasz dramat. Naturalnie, nie ma tu mowy, co najwyraźniej zaznaczone zostało w słowie wstępnem o wyczerpaniu przedmiotu do dna. Pierwsza grupa dramatów, osnutych allegorycznie czy symbolistycznie, zaczyna się „Duchami“ Aleksandra Świętochowskiego, jakkolwiek dramat ten łączy się bardzo słabo i luźnie z pokrewnymi sobie dziełami „Młodej Polski“, z Rydla „Dies Irae“, Macieja Szukiewicza „Śniegiem“, Wład. Orkana „Nocą“, „Bajką“ Niemojowskiego i „Prologiem“ Kasprowicza. Ocena wszystkich wymienionych co dopiero autorów słuszna, uzasadniona zwięźle. Z kolei przystępujemy do dramatów „cudownościowych“ — do „Zaczarowanego Koła“ Rydla, ocenionego bardzo surowo, oraz „Rokity“ Niemojowskiego. „Legjon“ Wyspiańskiego, omówiony razem z tą grupą, łączy się, podług nas nadzwyczaj luźnie z tym kierunkiem. Następny rozdział zajmuje się dramatem, którego myślą przewodnią — realizm psychologiczny w zobrazowaniu społeczeństwa. Są to sztuki, określone na tle życia ludu, a więc: Kasprowicza „Świat się kończy“, Niemojowskiego „Familja“ i „Marcin Łuka“ Sewera. Szkoda, że autor nie omówił tej ostatniej sztuki obszernie, a poprzestał na kilkuwierszowej wzmiance, iż dramat dotąd nie był drukowany w oryginale. (Mamy doskonały jego przekład czeski). Również niepowetowaną luką tej książki jest zupełne pominięcie dramatu tej miary, co Orkana „Skapany świat“. I tu autor podaje taką samą przyczynę. (Nadmienić wypada, że tłómaczenie tego utworu na język ruski ukazało się przed rokiem z górą). Powyższy kierunek reprezentują dalej: Świeżawskiego „Kusiciele ludu“, Zapolskiej „W Dąbrowie Górniczej“, dramaty Feldmana, oraz Tadeusza Konczyńskiego „Otchłań“. Rozdział trzeci zajmuje się tymi utworami dramatycznymi, w których zobrazowało się usposobienie spółczesnej młodzieży, jej poglądy na życie i stosunek do ogółu społeczeństwa. Należą do tej grupy: J. A. Kisielewskiego „W sieci“ i „Karykatury“, Wójcickiej „Dyletanci“ i „Psyche“, oraz Konczyńskiego „Kajetan Orug“. Pracę kończą dwa rozdziały o dwu wprost krańcowo różnych kierunkach dramatycznych, z których każdy ma tylko jednego przedstawiciela. Omówione zostały dramaty Przybyszewskiego i Wyspiańskiego, jedne i drugie ocenione sprawiedliwie, ale surowo. W ogólności obraz rozwoju różnych kierunków w naszym dramacie doby najnowszej wyszedł bardzo dobrze i jasno, a przytem sądy cechuje wielka bezstronność i ich pogłębienie. Książka ta góruje wielce temi zaletami ponad innemi pracami z tego zakresu. Jedne z nich bowiem starają się z bytnim entuzjazmem wywyższyć pewnych pisarzy ponad rzeczywistą ich zasługę, inne znowu zbytkiem krytycyzmu przeciągają strunę w kierunku przeciwnym. *Stanisław Zdziarski.*

*

Goffred abo Jeruzalem wyzwolona Torquata Tassa. Przekładania Piotra Kochanowskiego, sekretarza

J. Kr. M. Wydał dr. Lucjan Rydel. Tom I. Zasłużone wielce około publikacji dzieł dawniejszego naszego piśmiennictwa, a wielką zawsze starannością się odznaczające wydawnictwa Akademji Umiejętności p. t.: „Bibljoteka pisarzy polskich“, którego w mowie będący tom jest już obecnie czterdziestym i pierwszym z rzędu, położyło tym razem jedną więcej zasługę, która nietylko przez uczonych z zawodu, ale i przez ogół nasz przyjętą zapewne będzie z należnem uznaniem i wdzięcznością. Wiadomo powszechnie, jak wielkie znaczenie w dziejach rozwoju polskiego języka poetyckiego posiada synowiec ojca poezji naszej, Piotr Kochanowski i jego spolszczenia niezrównane dzieł Ariosta, a zwłaszcza Tassa, bez których niejedno późniejsze zjawisko literackie w piśmiennictwie naszem, językowe zwłaszcza, na zawsze pozostałoby wprost nie do wytłumaczenia. Wiadomo, jak chętnie czytywał te przekłady i jak gorąco zachwycał się nimi Mickiewicz, a że Słowacki jak do krynicy czystej zdążał do nich często kąpać i odświeżać w nich styl swój, na nich głównie kształcąc oktawę swoją, tę mistrzowską oktawę, w której formę ujął pieśni o Beniowskim i nieśmiertelne rapsody o Królu Duchu. Po wszystkie czasy też dzieła Piotra Kochanowskiego pozostaną dla miłośników języka polskiego jedną z niewyczerpanych nigdy skarbnic nieskażonego ojczystego słowa.

Akademja Umiejętności, przystępując obecnie do ponownego, a pierwszego zupełnego ich wydania (które na ośm tomów zamierzerzone, obejmie nieznaną dotąd rękopiśmienną spuściznę, oraz na zakończenie: studjum o życiu i pismach tłumacza), uczyniła zatem zadość prawdziwej potrzebie literackiej, tembardziej, że nawet ostatnie stosunkowo niedawne wydanie (Turowskiego) należy już dziś u nas prawie do bibljograficznych rzadkości. Nie można zaś było uczynić odpowiedniejszego wyboru, jak powierzając tę publikację człowiekowi o tak wysokiej kulturze literackiej i wielkiej znajomości polskiego języka, jakim przy całej swojej poetyckiej bezbarwności jest niezaprzeczenie autor „Zaczarowanego Koła“, dr. Lucjan Rydel. Wydawca z przyjętego na się zadania wywiązał się rzeczywiście zupełnie zadowalniająco, przynajmniej, co się tyczy wierności tekstu, który jest zupełnie poprawny, o ile to przynajmniej na prędce skonstatować można. To samo da się powiedzieć o korekcie w tym wypadku ważnej ogromnie i żmudnej, mniej szczęśliwie natomiast wypadły objaśnienia, po części zbędne dla wykształconego czytelnika, dla fachowego zaś filologa zupełnie niepotrzebne, a uderzające przedewszystkiem brakiem koniecznego w danym razie geograficzno-historycznego komentarza. Nazwisko wydawcy każe jednak spodziewać się, że w dalszych tomach braki powyższe usunięte zostaną zupełnie, a nowa edycja dzieł Piotrą Kochanowskiego, będąca zarówno literacko-historycznem jak i literackiem zdarzeniem, celowi swemu pod każdym względem odpowie. *A. C.*

*

Stanisław Zdziarski. *Garść baśni ludu ruskiego ze wsi Nałuża w powiecie trembowelskim.* Zebrał... (Osobne odbicie z materjałów antropol.-archeolog. i etnograf. T. VI. Dz. 2. Akademji Umiejętności. (Kraków, 1902. Nakładem Akademji Umiejętności. Skł. gł. w księgarni Spółki wydawniczej polskiej).

Opowiadania, zamieszczone w omawianym zbiorku w liczbie 13 zostały zapisane z ust djaka cerkiewnego. Skutkiem tego też niepodobna przydzielić ich ściśle do wymienionej miejscowości w nagłówku, gdyż ten, od którego je spisano, włóczył się sporo po świecie za służbą. Że dalej musiał słyszeć te baśni w różnych miejscowościach, dowodem fakt niedający się zaprzeczyć, że ani czas powstania, ani typ tematów nie jest im wspólny. Sam język opowieści nie jest lokalny, bo djak przebywał w różnych stronach, ciągle w dodatku miał do czynienia z językiem cerkiewno-słowiańskim, co wszystko złożyło się na to, że mowa, jaką się posługiwał przedstawiała niejednokrotnie konglomerat niejednej gwary lokalnej. Baśni te należą w przeważnej części do działu — „cudownych“, najwięcej wartości dla badań naukowych przedstawiają dwie z nich: „Piszczałka“ i „Lenora“.

NOTATKI. *Pieśni religijne.* W ostatnim numerze *Kraju*, autor, kryjący się pod literami A. K., wykazuje z powodu świeżo wydanego przez p. Sarjusza Zaleskiego „Śpiewnika religijnego“ potrzebę konserwacji i opieki archeologicznego charakteru niektórych pieśni religijnych ludu polskiego. Lud bowiem jest dziwnie muzykalnym i przytem twórczo muzykalnym. On to dostarczył wątku i rytmu pieśniarzom naszym do ich dzieł: Chopinowi, Moniuszce, Noskowskiemu, Żeleńskiemu, Paderewskiemu, Gallowi, a nawet i obcym: francuzowi Delibesowi, niemcowi Moszkowskiemu. O religijnej pieśni polskiej wie się coś, ale niedobrze. A już mało kto podejrzywa, że ta pieśń jest jedną z pereł najcenniejszych, największych i najczystszych w skarbcu naszego cywilizacyjnego dorobku. W niektórych przechowywał się do dnia dzisiejszego w żywej formie język: literatura złotego wieku. Również i melodja wszędzie jest piękną, zasługującą na przechowanie nietylko z archeologicznych, ale i z artystycznych względów, nawet pomimo pewnych, charakterystycznych dla każdego ludu monotonji.

Tyle p. A. K. a do jego zupełnie słusznych wywodów dorzucić możnaby ten jedynie żal, że właśnie duchowieństwo polskie bezpośrednio w tej sprawie interesowane, wszelkiemi siłami dąży do zmodernizowania pieśni religijnej i nadania jej konwencjonalnego charakteru. Nawet dzieło tak bardzo literackie jak „Godzinki“ napisane przez Wespazjana Kochowskiego, autora prześlicznej „Psalmodji polskiej“, a które przeszło już całkowicie w pieśń ludową doznaje niekiedy w książkach do nabożeństwa, zwłaszcza w Niemczech wydawanych zupełnie niewłaściwych modyfikacji i przeróbek.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8